

Z TRADYCJI MNISZEJ

78

MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB

NASZE ŚLUBY

MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB

NASZE ŚLUBY



TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Opracowanie graficzne:
JAN NIEĆ

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 84/2023, Kraków, dnia 18.09.2023 r.
† Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie I – Kraków 2023

ISSN 0867-7050
ISBN 978-83-8205-292-3

© Copyright by s. Małgorzata Borkowska OSB
© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel. + 48 534 037 299; + 48 (12) 688-52-95
e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa: Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

SPIS TREŚCI

WYJAŚNIENIE.....	7
1. POJĘCIE I DZIEJE	9
2. PRZYKŁAD PANA W PEŁNI I NIEODWOŁALNIE ODDANEGO OJCU	25
3. PRZYKŁAD PANA POSŁUSZNEGO.....	31
4. PRZYKŁAD PANA CZYSTEGO I UBOGIEGO.....	41
5. ŚLUB STAŁOŚCI KONKRETNIE	53
6. ŚLUB NAWRÓCENIA: CO TO ZNACZY.....	59
7. POSTAWA NAWRÓCENIA.....	73
8. ŚLUB CZYSTOŚCI KONKRETNIE	83
9. ŚLUB UBÓSTWA KONKRETNIE.....	95
10. ŚLUB POSŁUSZEŃSTWA KONKRETNIE	105
11. ŚLUBOWANIE WEDŁUG <i>REGUŁY</i> I KONSTYTUCJI	113
12. O MONASTYCZNEJ PRAKTYCE POSTU	125
INDEKS.....	137

WYJAŚNIENIE

Do normalnej formacji w klasztorze należy wyjaśnienie ślubów zakonnych: zarówno ich teologii, jak ich konsekwencji prawnych, praktycznych i duchowych. Ten krótki zbiorek nauk dedykuję moim cierpliwym słuchaczkom, s. Teresie z Żarnowca i s. Antoninie ze Staniątek. Dziękuję naszym kochanym oblatkom, Sławce i Beacie, za spisanie tych konferencji z nagrań. A przy okazji także wszystkim, komu by się te wyjaśnienia na coś przydały. Mowa tu oczywiście konkretnie o ślubach składanych w zakonie św. Benedykta i według jego *Reguły*; ale w każdym razie jest to przykład możliwego rozumienia ślubów przez ludzi, którzy je składają i starają się wypełniać.

1. POJĘCIE I DZIEJE

Zaczynamy krótki cykl wykładów o ślubach zakonnych.

Przez „śluby” rozumiemy obietnice złożone Bogu. I to jest rzecz odwieczna, stara jak wszystkie religie; na przykład w religii greckiej i rzymskiej jeśli człowiek chciał coś osiągnąć, a szanse były, powiedzmy, niepewne – to obiecywał bogom, albo któremuś konkretnemu bogu, taką a taką ofiarę za spełnienie się swoich pragnień. A potem, jeżeli się spełniły, miał obowiązek rzeczywiście taki dar złożyć. To było na ogół jakieś bydło ofiarne; w zależności od zamożności mogła to być jedna jałówka albo i sto (stąd nazwa *hekatomba*: ofiara stu). W każdym razie była to jakaś transakcja, całkiem konkretna, coś za coś. Trochę bardziej skomplikowana była sprawa ofiar w religii Izraela, bo tam to nie zawsze była transakcja. Tam był przede wszystkim obowiązek składania Bogu ofiar dlatego po prostu, że Mu się kult należy. Był więc codzienny kult świątynny, jeden baranek rano,

a drugi wieczorem; i było też powiedziane, że trzy razy w roku każdy Izraelita ma zjawić się w świątyni i nie będzie wtedy przychodził z pustymi rękami. Jednego mogło być stać na miarę mąki, a innego na piętnaście (na przykład) krów, czy byków, czy owiec... (Raczej zresztą byki niż krowy były faworyzowane jako ofiara w Izraelu.) W każdym razie, cokolwiek składano, składano takie ofiary nie dlatego, że ktoś chciał coś uzyskać, tylko jako wyraz czci, wyraz uznania praw Bożych nad człowiekiem. Oczywiście były także ofiary obiecwane w zamian za coś. (Czasami całkiem głupio, jak w wypadku Jessego, który obiecał ofiarę z człowieka, i do tego z człowieka, który akurat wyjdzie mu przeciw po zwycięstwie. A wyszła jego jedyna córka, i co było robić? To jednak stało się w czasie, w którym Izrael był pod wyraźnym wpływem sąsiednich kultów pogańskich. Bo Pismo Święte przecież tego nie nakazuje; Objawienie Boże nie nakazywało; to tylko w pogańskiej myśli można było uznać ofiarę z człowieka za miłą Bogu.)

W każdym razie nakazane przez Prawo ofiary miały przede wszystkim sens kultowy. Natomiast te prywatne, dobrowolne, bywały

często kultowe, a również często dziękczynne, w odpowiedzi – na przykład – na jakąś spełnioną prośbę. Brać się musiały oczywiście z własności prywatnej, ze stanu posiadania. Co człowiek miał, to ofiarowywał, wedle możliwości: bogatszy barana, uboższy gołębia... Ale czy to była baryłka oliwy, bo przecież i oliwa, i sól, i mąka były składane w ofierze, czy to było coś ze stad swoich, czy cokolwiek; choćby nawet i wino, bo były i ofiary „płynne” – tak czy inaczej, dawało się coś ze swego, i tym samym rezygnowało się z tego samego. Jeśli ofiara była całopalna, to tego barana już dotychczasowy właściciel nie zje; jeśli była biesiadna, tenże właściciel tracił z niej przynajmniej części spalone i części należne kapłanom.

Więc przez ślub rozumiemy obietnicę złożoną Bogu. Obietnicę ofiarną. Nasze śluby dotyczą jednak przede wszystkim nas samych, naszego życia i postępowania. Przecież ślubowanie, że się będzie tak a tak żyło, i to zawsze, to jest kwestia postępowania, obejmuje moją osobę, a nie tylko to, co posiadam, co mam w kieszeni. Owszem, jakiś wpływ na stan posiadania śluby zakonne mają, choćby ślub ubóstwa; ale ofiara z ta-

kich czy innych praw własności to już jest dla nas rzecz wtórna, po prostu konsekwencja ofiary właściwej. A ta obejmuje przede wszystkim styl życia, intencje, cele.

W Starym Testamencie mamy, owszem, jakby daleką zapowiedź jakiejś ofiary ze swojego stylu życia. Mam na myśli nazireat, który był czymś w rodzaju okresu intensywnych praktyk religijnych: „poświęcenia się Panu” przez rygorystyczne zachowanie rytualnej czystości, abstynencję od wina i noszenie długiego zarostu (Lb 6,1–20). Jeszcze św. Paweł coś podobnego praktykował (Dz 18,18). Niemniej to było właśnie okresowe; a chociaż mamy dwa zapisy o nazirejczykach przez całe życie (Samson i Jan Chrzciciel), to na przykładzie Samsona widać, że nawet w takim wypadku nie była to konieczność ofiara ani z prawa do majątku, ani z posiadania rodziny, ani z własnej woli.

Kiedyś mówiłam grupie turystów o powołaniu zakonnym, a jakaś pani zapytała mnie: „Co by siostra powiedziała na to, gdyby osoba, którą życie ciężko potraktowało, po tych wszystkich nieszczęściach przyszła szukać pociechy w klasztorze?” Co bym powiedziała? powiedziałyabym tylko jedno: że pomyliła

adres. Bo takiej osobie byłoby potrzebne sanatorium, a nie klasztor. To znaczy: byłby jej potrzebny dom, w którym ona i jej cierpienie zajmowałyby swoiste, centralne miejsce; i na niej, na jej potrzebach, na jej ukojeniu koncentrowałoby się całe działanie i życie otoczenia. Tak jak w sanatorium, gdzie lekarze pacjenta badają, pielęgniarki go obsługują, rehabilitanci mu robią takie czy inne ćwiczenia, kąpią, gimnastykują... I wszystko się kręci wokół niego i wokół jego zdrowia. A on tylko to odbiera; trochę owszem współpracuje, ale jest przez cały czas tym centralnym punktem, odbierającym usługi.

Otóż jeżeli my chcemy ofiarować swoje życie, to znaczy właśnie swoje działanie, Panu Bogu, to jest dokładnie odwrotnie. To jest nie branie, to jest dawanie. Więc jeżeli ktoś chce tylko, jak ta pani najwyraźniej chciała, odpocząć, dać się dokochoać, czy coś w tym sensie – to absolutnie niech nie wstępuje do klasztoru, bo w nim jest miejsce na dawanie siebie, na pracę, właśnie na czynny wysiłek. A nie na bierne używanie cudzego wysiłku. To jest, konkretnie: w życiu wspólnym te wysiłki dają z siebie wszyscy i wszyscy je także otrzymują, owszem. Ale przecież

życie zakonne jest ukierunkowane przede wszystkim nie na ludzką wspólnotę, tylko na Boga. Na wspólnotę w drugiej kolejności oczywiście też, bo nie ma miłości Boga bez miłości bliźniego. Ale przede wszystkim jest zwrócone ku Bogu. Więc musi człowiek być zdecydowany na to, żeby dać z siebie, dać siebie. Wicie: to jest tendencja w człowieku wcale nie wymuszona, tendencja bardzo naturalna. Nieraz jest tak, że ktoś wędruje, na przykład w góry albo nad morze; i piękno, i ogrom tego, co widzi, robi na nim takie wrażenie, że chciałby się cały wtopić w ten krajobraz. Właśnie jakoś oddać siebie. To jest oczywiście niemożliwe; nie można się oddać jakimś siłom przyrody – czy to będzie ziemia czy woda, czy cokolwiek innego. Ale Bogu można. I to jest dążenie, pragnienie, które Bóg nam pozwala zaspokoić. Bywa to nieraz ogromne odkrycie w młodości: że takie coś jest w ogóle możliwe, w dodatku nawet w naszych czasach, a nie tylko w zamierzchłych wiekach, kiedy jeszcze pustelnicy kręcili się po pustyni. Bo my myśleliśmy dotąd, że tylko wtedy to było możliwe, ale nie teraz; tymczasem okazuje się, że zawsze jest możliwe. Zawsze jest możliwe oddanie swojego

życia Bogu. I bardzo często jest to przede wszystkim właśnie też pożądane, upragnione. Radość, że tak można.

A co mają śluby do tego? Czy nie można Bogu ofiarować życia bez ślubów? Można, oczywiście, że można. I to też zawsze istniało, i to na dwa możliwe sposoby. Pierwszy przez ofiarowanie mu całkiem zwyczajnego życia, takiego jakie pędzą tysiące i miliony ludzi. Życia rodzinnego, życia zawodowego. To wszystko też można przecież ofiarować Bogu i spełniać dla Niego. I to jest jedna z lekcji Ojców Pustyni: kiedy sam Wielki Antoni otrzymuje objawienie, że w Aleksandrii, czyli w takim paskudnym ówczesnym Babilonie, który był pełen pogaństwa, przepychu i nędzy, rozwiązłości i wszystkich grzechów, jakie tylko wymyślić można, tam właśnie żyje lekarz, a więc człowiek świecki i to w dodatku jeszcze mający cały czas do czynienia z cielesnością ludzką – który jest jemu, Wielkiemu Antoniemu, równy zasługami. Święty Antoni nie poszedł tego oglądać, jak kilku innych w takich wypadkach chodziło; po prostu uwierzył, że tak jest. I powtarzał, że to właśnie usłyszał. A co ten lekarz robił? Ano leczył, dawał jałmużnę i modlił się całym swo-

im życiem. To było wyrażone w ten sposób, że on śpiewa „Święty, Święty, Święty” przez cały czas. Bo on się modlił właśnie, wielbił Boga całym swoim życiem. Więc jest możliwe ofiarowanie Bogu życia bez ślubów.

Drugi sposób tej ofiary, to ten, który od wieków też istniał i istnieje, we wspólnotach luźnych, nie zakonnych. W naszych czasach to są głównie niektóre instytuty świeckie; dawniej, tak od średniowiecza zaczynając, to były beginki. Nawiasem mówiąc ostatnie beginki w Belgii wymarły w końcu XX wieku, więc nie tak dawno, jakieś 50 lat temu. Do tego czasu ten ruch trwał na swoim miejscu. Zresztą beginek było w Belgii średniowiecznej (i późniejszej także) wielkie mnóstwo, całe dzielnice w miastach to były „beginaze”: duże dzielnice, pełne małych domków, w których one mieszkaly na zasadzie bądź własności, bo nie było u nich własności wspólnej, bądź powiedzmy dzierżawy albo gościnności. Tam był zwykle kościół pośrodku, ich własny kościół. To było niemalże jak osady pustelników, tylko że w mieście. Beginki mieszkaly czasami po kilka, czasami pojedynczo, w zależności od wielkości lokalu; i każda utrzymywała sama siebie, czy to

przez pracę jakąś, na przykład przedzenie, czy to z jakiegoś posiadanego kapitaliku, bo to w miastach już wtedy było możliwe: miało się posag od rodziny, złożony na procent u jakiegoś kupca; albo trochę tak i trochę tak, jeszcze także i zebrać można było w razie czego. Każda utrzymywała sama siebie, ale wiedziała, że ten stan przyjęła właśnie ze względu na Boga, żeby w ubóstwie żyć. Właśnie w dziewictwie i ubóstwie.

Nawiasem mówiąc, to mógł być czasami w percepcji ludzkiej, stan jeszcze uboższy, więc pod tym względem jeszcze doskonalszy, od mniszego. Np. św. Julianna z Cornillon, która spędziła długi czas życia w nieformalnej wspólnotcie w rodzaju beginek, po wygnaniu ze swojego domu, już jako starsza osoba, została przyjęta przez cysterki; ale nie potrafiła się u nich osiedzieć, dlatego po prostu, że one tam miały codziennie zapewniony obiad, a ona przywykła do takiego ubóstwa, że nie wiedziała, czy będzie dzisiaj coś jadła, czy nie. Mniej więcej taka była treść zastrzeżeń. Ona i dwie jej towarzyszki z tej samej poprzedniej wspólnoty, zostały wobec tego umieszczone obok klasztoru i tak tam żyły, jak uważały, że powinny.

A więc, jak mówię, można przyjąć dla Boga i taki sposób życia. W naszych czasach np. szarytki do dzisiaj nie składają ślubów, przynajmniej wieczystych. To jest jeszcze inna historia: one powstały w czasach po Soborze Trydenckim, kiedy życie zakonne bez klauzury było nie do pomyślenia i kasowano wszystkie takie zespoły; więc szarytki, żeby się ostać razem ze swoją działalnością, musiały udowodnić, że nie są zakonnkami, a tylko bractwem. Miały duchowość zdecydowanie zakonną, ale musiały udowodnić, że nią są zakonnkami. Jak udowodnić? Ano: przecież nie składają publicznych ślubów. Składają tylko prywatne, to każdemu wolno; i też nie raz na zawsze, tylko co roku od nowa. Do dzisiaj tak robią. Oczywiście, jeżeli któraś jest utwierdzona w swoim powołaniu, to nie wyobraża sobie, żeby mogła tych ślubów w uroczystość Zwiastowania (bo to jest ten dzień dla nich wszystkich) nie powtórzyć. Ale takich ślubów, jakimi są w Kościele śluby dożywotnie zakonne, nadal nie mają, do dzisiaj, mimo że nowsze prawo kanoniczne już dawno dopuściło życie zakonne bez ścisłej klauzury.

Niemniej człowiek odczuwa potrzebę złożenia ofiary z siebie możliwie najpełniej-

szej i najtrwalszej, jeśli tylko ma możliwość; ofiary trwałej, nie tak, że „dzisiaj będę żyć w taki sposób, a jutro w inny, zależnie od tego, jakie akurat natchnienie mi przyjdzie; a ponieważ każde natchnienie, które mi przyjdzie, na pewno jest od Pana Boga, to choćby dzisiaj było takie, a jutro przeciwne, ja będę żyć według tych natchnień”. Było za mojej pamięci w Niemczech Wschodnich nowo założone zgromadzenie, które rosło i pracowało wzorowo przez jakieś ćwierć wieku, aż póki założycielka nie ogłosiła, że zgodnie z otrzymanym przez nią właśnie natchnieniem siostry powinny się rozejść po świecie, żeby głosić bardzo już bliski sąd Boży. Posłuchały, i zgromadzenia już nie ma.

Otóż według odwiecznej tradycji Kościoła człowiek pragnący Bogu oddać życie, chce je oddać w całości, a nie tylko wypożyczyć na rok czy dwa. Oczywiście może ktoś z góry założyć, że spędzi jakiś czas przy klasztorze celem pogłębienia swojej duchowości, a potem wróci „do świata”, ale taki człowiek ślubów nie składa i nikt po nim tego nie oczekuje. Zakonne śluby pochodzą z miłości, i to z takiej, która z jednej strony wie, że jest słaba, a z drugiej usilnie pragnie

pełni daru z siebie. Taka miłość chce sobie odciąć drogę odwrotu w wypadku jakiegoś zachwiania się decyzji. Kiedy przychodzi próba, trudność, pokusa zawrócenia z obranej drogi – a przychodzi, przyjść musi, bo nie ma miłości bez próby – wtedy świadomość złożonej obietnicy jest podtrzymaniem. I wtedy można sobie uświadomić, że naszą szansą, naszą wielką możliwością jest te śluby mimo wszystko zachować. Niejedna dusza pobożna podczas trudności twierdzi, że się łamie w powołaniu. – Ty nie w powołaniu się łamiesz, ty się łamiesz w swoim stosunku do powołania, a to jest zupełnie co innego! I te właśnie chwile, kiedy człowiek się „łamie w powołaniu”, jak mniema – to są w rzeczywistości chwile, kiedy on ma szansę, życiową szansę: dać Bogu jeszcze raz to, co właśnie chciałby Mu zabrać.

A tak śluby złożone na całe życie są potrzebą miłości. Mniejszej czy większej, słabej, kulawej, ale jednak istniejącej, miłości do Boga. To jest ich podstawa psychologiczna. Jest natomiast także i podstawa prawna, bo zadeklarowana słownie miłość czasami ostatecznie realizuje się, a czasem nie. I już w czasach św. Benedykta panowało prze-

konanie, że trzeba tu jakiegoś ostrego podziału. Na takich, którzy są zobowiązani i takich, którzy nie są. Na tych, którzy chcą przyjąć i tych, którzy się wahają. Na tych, którzy chcą dać Bogu siebie w ten właśnie sposób i tych, których to właściwie biorąc mniej obchodzi, więc po co mieliby udawać? A św. Benedykt zażądał od swoich mnichów, żeby zobowiązywali się prawnie i publicznie. Nie on pierwszy, ale pierwszy z tych, którzy ustalili jasną formułę ślubów i konkretną do nich formację, co miało wpływ na cały dalszy bieg życia monastycznego. Jego uczniowie mieli składać dożywotnie obietnice, które wyraźnie streszczały ich obowiązki; a ponieważ ślubować nie można bez próby, na taką próbę wyznaczył rok nowicjatu, który miał właśnie odsiać zdecydowanych od obojętnych. Uważa ktoś, że za krótko? W jego czasach średnia długość życia człowieka raczej nie przekraczała lat trzydziestu (owszem, niektórzy dochodzili i do stu, ale zdecydowana większość umierała młodo albo w nawet w dzieciństwie. Średni wiek liczył się wtedy już około 25 lat. Potem się zaczynał wiek dojrzały i starość była na horyzoncie). Otóż w czasach, kiedy człowiek

żył o wiele, wiele krócej niż większość ludzi żyje dzisiaj, przynajmniej w krajach dobrobytu – rok próby uważany był za długi czas. Zupełnie wystarczający, jak św. Benedykt pisze: *tak długo się namyslał, więc miał swobodę przyjąć, albo odrzucić*. Ale jeśli już rozważył i dobrowolnie przyjmuje, to niech przyjmie razem z konsekwencjami. Z całą gotowością postępowania przez całe życie tak właśnie, jak dzisiaj obiecał. W tamtych czasach śluby były raz jeden składane, bo jeszcze nikomu nie przyszło do głowy, że potrzebuje dłuższego namysłu. To prawo obowiązywało dosyć długo, ale w przeciwieństwie do średniowieczu życie było niezbyt długie. A później? Kiedyś obliczałam wiek życia zakonnic w XVI, XVII, XVIII wieku, bo z tego czasu jest dosyć materiału, żeby już móc liczyć; spisywałam, jedna po drugiej: ile lat żyła, i ile lat spędziła w klasztorze, a potem obliczyłam średnią. I okazało się, że w tych czasach (nazywamy je epoką nowożytną) żyło się już trochę dłużej niż w starożytności czy w średniowieczu. Mniej więcej oczekiwać można było osiągnięcia pięćdziesięciu lat życia; a w tym, trzydziestu kilku lat w zakonie, bo wstępowało się oczywiście wcześniej niż

dzisiaj. Prawo kościelne wymagało wtedy do profesji pełnych lat czternastu, wstępowały głównie dziewczyny kilkunastoletnie (najczęściej szesnastolatki), jeśli ich oczywiście za mąż nie wydano wcześniej, bo to też było możliwe. Powołania po dwudziestce liczyły się już wtedy do „spóźnionych”. A potem panna żyła jakieś trzydzieści siedem lat w klasztorze: to była najczęstsza długość życia zakonnego. Więc też nic dziwnego, że nadal trzymano się tego jednego przepisowego roku próby, chociaż w praktyce już ją wtedy trochę przedłużano: najpierw przytrzymywano kandydatkę w szkole jakiś czas, uzupełniając wykształcenie, którego na ogół nie miała; potem jeszcze nawet po wieczystej profesji przedłużano trochę formację. Albo nawet zakładano z góry, że nowicjat będzie trwał dwa lata. Ale tak ogólnie, na cały Kościół, to dopiero w XX wieku rozszerzono nowicjat na obowiązkowe dwa lata, przynajmniej u kobiet; już więc prawie w naszych czasach. A jeśli chodzi o profesję czasową, to ona weszła do życia zakonnego poprzez zgromadzenia czynne. Bo wciąż prawnicy kościelni nie mogli uwierzyć, że kobieta może dochować ślubu czystości, nie siedząc

za kratami. Starali się więc chociażby próbę trochę przedłużyć: niech będzie na tych ślubach czasowych jeszcze parę lat, zobaczymy: wytrzyma czy nie wytrzyma. Może jednak będzie chciała wrócić do świata i iść za męż. To przedłużanie zjawilo się więc dosyć późno, ale w tej chwili jest faktem tym bardziej zrozumiałym, że w naszych czasach nie tylko życie trwa dłużej niż dawniej, ale także dzieciństwo. Postawę psychiczną dziecka spotyka się nieraz u człowieka dobrze już po dwudziestce, który wciąż jeszcze nie rozumie, że nie świat istnieje dla niego, tylko on dla Boga. Małe dziecko, karmione przez rodziców i otaczane pełną opieką, bez której by żyć nie mogło, może myśleć, że świat istnieje po to, żeby miał się kto nim zajmować; ale nie dorosły człowiek! A nieraz tak właśnie bywa. Człowiek dorosły ma w społeczności ludzkiej i prawa, i obowiązki; otóż, żeby złożyć śluby zakonne, i to złożyć je świadomie i sensownie, potrzeba traktować poważnie właśnie obowiązki. Inaczej ofiara z siebie jest tylko bajką.